

Niewolnice
i przyjaciele
pani Tekli

Oleg Poliakov

Niewolnice
i przyjaciele
pani Tekli



Dla Oleksa Matwieieva

Warszawa 2019

Korekta:
Katarzyna Kusojc

Opracowanie graficzno-techniczne:
Wanda Mierzejewska

© Copyright by Wydawnictwo Anagram

ISBN 978-83-655

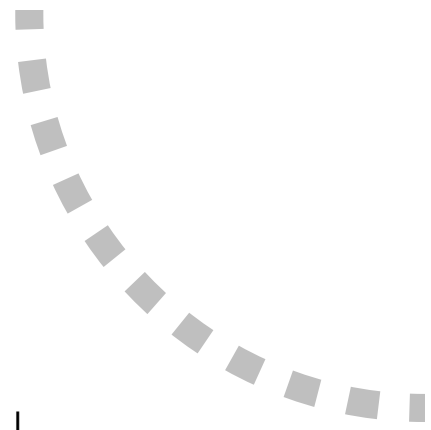
*Nos twój jak baszta Libanu,
spoglądająca ku Damaszкови.*

Pieśń nad Pieśniami

*Trzymałbym taki ciężar zawsze,
Obyś tylko mówiła, dokąd mam cię nieść.*

Oleh Lysheha

Księgarnia internetowa
www.anagram.com.pl
e-mail: anagram@adres.pl



Część I

Dary prowincji

1.

Rozmowa kwalifikacyjna

W piątek, piątego lutego dwa tysiące dwudziestego piątego roku zatrzymałem się obok drzwi restauracji Rze czy Elementarne. Zegarek wskazywał za pięć piąta. Symetrii z liczbą pięć nie sposób było nie zauważyć i humor mi się na chwilę poprawił. Serce jednak pozostawało niespokojne i sceptyczne. Jakby chciało powiedzieć: „Widzisz, jak łatwo zniżyć się do taniej numerologii”.

Po szybkim marszu z moich ust unosiły się kłęby pary, mróz szczypał w uszy. Solidny drewniany szyld restauracji pokryty był mętnymi zaciekami stopniałego śniegu, chociaż złote łańcuchy, na których wisiął, błyszcząły, jakby dopiero co wyszły z warsztatu. Pośrodku szyldu siedział zeszywniały wróbel, podobny do bombki na choince, którą zapomnieli zdjąć. Byłem tu po raz pierwszy, mimo że restauracja znajdowała się w centrum miasta, na rogu starego, niedawno odnowionego budynku w pobliżu Jarosławskiego Wału¹.

Z lekkim, niezrozumiałym smutkiem zerknąłem na swoje buty, które chyba codziennie traciły kształt przez śniegową breję, i otworzyłem drzwi – schody prowadziły do głębokiej piwnicy. Na dole, w przytulnym holu, wykończonym wzorzystym drewnem (zdawało mi się, że unosił się tam delikatny aromat lasu), barczysty portier zwinnie przejął mój płaszcz. Palce facet miał zimniejsze od moich, a duża, nieproporcjonalna głowa sprawiała, że był podobny do Frankensteina. Naprzeciwko szatni, w półkolu znajdowało się kilkoro jednokowych drzwi ze złotymi literami: A, B, C, D, E, F. Wszedłem przez drzwi „B”, tak jak mi powiedziano.

¹ Nazwa ulicy w Kijowie.

W pomieszczeniu, które przypominało niedużą jaskinię, płonęły tylko dwie cieniutkie świece w kątach. Kobieta siedziała praktycznie w całkowitym mroku, plecami do źródła światła. Jej sukienka była jaśniejsza od kanapy, a włosy jaśniejsze od sukienki. Otwarte menu trzymała tak, że zupełnie zasłaniało jej twarz. „Jak w starych szpiegowskich filmach”, pomyślałem i zatrzymałem wzrok na jej odsłoniętych rękach. Była chuda i miała długie nogi i takie same ręce. Przy czym, przypatrzyłem się, nadgarstki owej damy posiadały tę samą szerokość, co jej przedramiona. „Entuzjastka ostrej diety... Bez dwóch zdań...”, stwierdziłem. W tym samym momencie zza menu doleciał melodyjny głos:

– Jedno danie już dla nas wybrałam. Jestem ciekawa, czy zgadniesz jakie.

„Kobiety uważają, że faceci lubują się w takim zgadywaniu”, pomyślałem, ale stać mnie było jedynie na:

– Trudno powiedzieć...

– Wódkę! – oznajmiła z emfazą kobieta i gwałtownie zatrasnęła okładkę menu. Strumień powietrza uniósł na chwilę końcówki jej włosów. Dobry i nieco pobłażliwy był jej uśmiech – tak, spodziewając się oklasków, patrząc ze sceny na oszołomionych widzów iluzjoniści po pokazie swojego koronnego triku, którego tajemnicę zabiorą ze sobą do grobu.

– Siadaj i czuj się jak w domu – powiedziała i położyła ręce na menu. – Od razu zaznaczę: w tej restauracji karta dań podawana jest tylko pro forma. Tak naprawdę jest zupełnie niepotrzebna. Mają tu jeden rodzaj wódki, wina czy koniaku, wodę gazowaną i sok. A dziś w kuchni smaży się wyłącznie wieprzowina lub cielęcina, oczywiście serwują też parę dodatków i kilka prostych sałatek. No i chleb jeszcze mają... Krótko mówiąc, restauracja i jej nazwa całkiem do siebie pasują – „Rzeczy Elementarne”. Niewiele do wyboru, ale wszystko jest dobrej jakości i zrobione z miłością, a więc naprawdę smaczne. Standardowe za-

mówienie brzmi następująco: „Poproszę wódkę, ziemniaki, wieprzowinę i sałatkę”.

Ostatnie zdanie skierowała do długiego, łysego kelnera z głębokimi zmarszczkami na czole, który bezszelstnie pojawił się za moimi plecami. „Jakaś dziwna ta obsługa”, przeszło mi przez myśl.

– Dobry wieczór, co dla pana? – zwrócił się do mnie kelner.

– To samo.

– Bardzo dobrze, słuszny wybór! – Ukłonił się i szybko zniknął za bocznym parawanem.

– Jestem zachwycona tym lokalem i jestem pewna, że wkrótce do mnie dołączysz – powiedziała kobieta, rozplatając skrzyżowane nogi i kładąc łokcie na stół. – Jego minimalizm pozwala poczuć, czym jest prawdziwy komfort. Wiesz czym? Nieobecnością wszystkiego, co zbędne, i przecuciem nadejścia upragnionej przyszłości. Bo tak naprawdę spędzamy życie w dużych ciemnych pudełkach, pełnych głupich iluzji i wielu eterycznych pragnień, a nie rzeczy realnych. Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

Kobieta odepchnęła się rękoma od stołu i zanurzyła w miękkie oparcie kanapy, czekając na moją odpowiedź. Ja zaś uświadomiłem sobie z przerażeniem, że nie wiem, co jej odpowiedzieć, bo po prostu chyba przegapiłem wszystkie jej słowa. Taka nagła utrata umiejętności skupienia się na słowach współmówcy zdarzała mi się już wcześniej, ale tak wyraźnie i podstępnie – po raz pierwszy. „Ładny początek rozmowy kwalifikacyjnej, nie ma co – makabra!” Poczułem pulsujące żyły na skroniach. Dobrze przynajmniej, że w pokoju panował półmrok...

– Trudno się nie zgodzić...

W tym momencie do naszego stołu podszedł kelner i sprawnie podał z tacy karafkę, dwa stugramowe kieliszki i talerz z kilkoma kawałkami chleba.

– Dziękuję – powiedziałem do niego jak do najlepszego przyjaciela.

– Cóż, wypijmy po kieliszku i poznamy się lepiej – zaproponowała dama.

Skinąłem i napełniłem kieliszki.

– Za co pijemy? – zapytała.

– Powiedzmy, za elementarne rzeczy, może być?

Kobieta mrugnęła oczami na znak zgody, z gracją odrzuciła głowę do tyłu i jednym ruchem wlała w siebie setkę – jakby to był sok.

– Może być. – Wypuściła powietrze i mocno uderzyła pustym kieliszkiem o stół. Drugą ręką wzięła kawałek chleba, podniosła go do ust niczym serwetkę i odłożyła z powrotem.

Spojrzałem na nią wzrokiem boksera średniej wagi, który dopiero na ringu pojął, że przeciwnik jest dwa razy większy i cięższy. Ale było za wcześnie, żeby się poddawać – przechyliłem kieliszek, wzięłem trzy równomierne łyki i odstawiłem go na stół.

– Mam na imię Tekla i mam trzydzieści trzy lata. Cudowny wiek! Zdążyłam już pobyć modelką, lekarzem, fryzjerem, redaktorem modnego pisma kobiecego, aktorką, krawcową, dekoratorem, koleżanką arabskiego szejka – robiłam, że tak powiem, za Roksolanę²...

Przy jej ostatnich słowach z mojego gardła niechęcy wydostał się dziwny, zawiły dźwięk, wyrażający podziw i zachwyt, przede wszystkim jednak niedowierzanie. Tekla potarła swoją brew małym palcem, wzięła chleb i zaczęła go powoli żuć.

– To, oczywiście, trudno nazwać zawodem, ale przez dwa lata mieszkałam w przedziwnym wschodnim pałacu, gdzie obowiązywały dość niezwykle zasady. Nawet czas mijał tam całkiem inaczej – próbowała rozwiać wątpliwości. – I był to nie najgorszy okres mojego życia... Ale o tym

² Ukrainka, żona sułtana Sulejmana Wspaniałego, jedna z najpotężniejszych kobiet imperium osmańskiego.

innym razem. Teraz twoja kolej. Chociaż wiem już co nieco z twojego CV: jesteś Artem, masz trzydzieści sześć lat i zajmowałeś się różnymi komunikacyjnymi...

– ...oraz medialnymi projektami, public relations...

– Cudownie! – Tekla klasnęła w dłonie, po czym zwróciła się do kelnera: – Teodorze, pojawiaasz się dokładnie wtedy, kiedy naszej małej orkiestrze brakuje nowych muzycznych pomysłów. To jest talent!

Kelner, uśmiechając się dyskretnie, postawił na stole ziemniaki z mięsem, duży talerz sałatki, którą w myślach, łamiąc zasady tego lokalu, nazwałem „grecką”, i zniknął. Szybko jednak powrócił, trzymając w jednej ręce olbrzymi świecznik z trzema dużymi świecami, a w drugiej – nową karafkę, dwa razy większą od poprzedniej. Świecznik umieścił pośrodku stołu, w specjalnym zagłębieniu – natychmiast zrobiło się jaśniej. Tekla wzięła karafkę i szybkim, płynnym ruchem napełniła kieliszki.

– Proponuję wypić za chwilę, którą właśnie przeżywamy, i za... właśnie przypominałam sobie pewną śmieszna historię... Chociaż nie, lepiej wypijmy za coś poważnego... za coś głębokiego... za coś wiecznego... Jesteś gotów?

– Chyba tak.

Tym razem odstawiła swój kieliszek bardzo ostrożnie, jakby dotykała nim niemowlęcia.

I tu – w nowym oświeceniu – objawiła mi się prawda: nos! Rany boskie, jaki ona ma duży nos! To nie jest mara! Moja chora wyobraźnia nie zażartowała sobie ze mnie!... Zaniepokojony opuściłem wzrok, bojąc się, że Tekla domyśli się przyczyny czerwonych plam, które zaczęły obficie pokrywać moją twarz. Ona zaś spokojnie kołysała w powietrzu widelcem i namiętnie pracowała szczękami. „Uspokój się i we wszystkim ją naśladowaj”, nakazałem sobie, napełniając talerz ziemniakami i golonką. Jedzenie rzeczywiście okazało się bardzo smaczne.

Zdawało mi się, że dość szybko odkrywam tajemnicę wyglądu Tekli. W większości wypadków duże nosy sprawia-

ją okropne wrażenie z powodu kontrastu z innymi częściami ludzkiej twarzy. Ale to może być również niskie, ścięte czoło albo wystające łuki brwiowe, zbyt rozwinięte kości policzkowe bądź niedorozwinięta dolna szczęka, a nawet małe oczy. Twarz Tekli była inna. Ze zwykłym nosem byłaby klasyczną piękną z okładki, z wyraźnymi szarymi oczami, którą można by śmiało zaprowadzić do najdroższych centrów handlowych, żeby reklamowała wszystkie obecne tam towary – od rajstop po motocykle. Nos Tekli jednak tak niespodziewanie, tak śmiało i beczelnie sterczał z jej twarzy, niczym (w tym momencie poczułem, jak wódka w mojej piersi zamieniła się w psotną ciepłą kulkę) płetwa rekina pośród cichej, spokojnej tafli morza. Krótko mówiąc, tak osobliwego piękna jeszcze nie widziałem.

Kobieta mrugnęła do mnie. Odpowiedziałem jej uśmiechem. Wracła mi pewność siebie.

– Tekło, a na czym właściwie będzie polegać moja praca?

– Wypijmy po trzecim kieliszku, a potem wszystko ci powiem. Teraz twoja kolej: polewaj i mów.

Refleksy świeczek zaczęły biegać figlarnie po jej skroniach, czasem nurkując w źrenicach i wynurzając się z nich.

– Wypijmy za to, żeby nigdy niczego nie żałować – rzuciłem znaną formułkę, popularną w mniej ekstrawaganckich lokalach.

– Aby tak było, trzeba ciągle wkładać w to masę wewnętrzny wysiłek – odpowiedziała Tekla, która chyba opacznie rozumiała moje słowa, i zaczęła powoli cedzić wódkę, zagładając w głąb kieliszka.

Kiedy dopiła, wstała, powiedziała: „Zaraz wrócę” i udała się w kierunku parawanu, za którym co jakiś czas znikał – po czym wyłaniał się – kelner. W przeciwieństwie do wielu reprezentantek rodu niewieścigo Tekla nie powiesiła torebki na przedramieniu, lecz zostawiła ją na kanapie. Kroczyła pięknie i zgrabnie, z niezachwianą pewnością

przy każdym kroku; głowę lekko przechylała na bok, jakby śledziła wzrokiem coś widocznego tylko dla niej.

„Ma klasę”, pomyślałem i zaraz zrozumiałem, że za takie wnioski można pić tylko samemu. „Tekło, wypijmy za twoją doskonałą klasę!” Nabiłem na widelec kawałek oscypka i czarną oliwkę, napełniłem kieliszek poza kolejką i szybko go opróżniłem. Tym razem ciepła fala rozlała się po całym moim ciele, aż do końcówek paznokci. Odchyliłem się na oparcie kanapy i rozejrzałem wokół. Miałem wrażenie, że architekci tego wnętrza wylali na podłogę beczkę wody, a potem stawiali te nierówne ściany według brzegu kałuży. U góry znajdowały się ciężkie belki tej samej tekstury, co sztyd na zewnątrz, tylko znacznie jaśniejsze. Niektóre ściany były wykończone drewnem, z innych sterczała cegła w stylu „niechlujne murowanie”. Oprócz niskiego stołu i dwóch kanap, na których siedzieliśmy naprzeciwko siebie, niczego tu nie było. To było wnętrze, które chciało się dopełnić sobą, a nie się w nim roztopić.

Jak tylko Tekla wróciła i usiadła wygodnie na kanapie, jej długa, chuda ręka sięgnęła po karafkę.

– Za twój sukces w nowej pracy – powiedziała, pewnie tylko po to, żeby szybko wypić i rzucić się na mięso.

Patrzyłem na nią zauroczony. Takich znajomych jeszcze w życiu nie miałem. Przepelniały mnie dobre przecucia.

– No dobrze. Przejdźmy do interesów. – Tekla raptem przestała jeść, szybko wytarła usta serwetką i rzuciła ją na stół. – Chcemy, żebyś zajął się wsparciem medialnym pewnych badań nad rozwojem zdolności przywódczych... Zdolności przywódczych człowieka. Głównym interesantem badań jest znany skandynawski instytut, który specjalizuje się w dziedzinie socjokulturowego modelowania. Zresztą jestem przekonana, że wynikami naszej pracy zainteresują się też inne instytucje.

Moja mimika zapewne wydała się Tekli nieco podejrzana. Przestała mówić, a potem z udawaną wściekłością szczęknęła zębami.

– Twoje pierwsze zadanie to dochować tajemnicy. Na razie nie nagłaśniamy tego projektu i nie prowadzimy żadnej kampanii reklamowej, wszystkie negocjacje odbywają się za zamkniętymi drzwiami, na prywatnych spotkaniach, lunchach i tak dalej. Ale do czasu. Wkrótce wektor nagłośnienia obróci się o sto osiemdziesiąt stopni – musimy stać się publiczni i jak najgłośniejsi. Na początku będziesz dostawał dwa, trzy tysiące dolarów miesięcznie, później stawka wzrośnie.

Tekla wzięła swoją torebkę i wyciągnęła z niej paczkę papierosów. Za moimi plecami pstryknęła zapalniczka – ręka kelnera podniosła ogień ku twarzy kobiety. Ta zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym w kierunku sufitu. Nagle przypomniało mi się, że też mam papierosy w kieszeni.

Zagrała muzyka, nie od razu rozpoznałem w niej symfoniczną aranżację jednej z wolnych kompozycji zespołu Radiohead. Tekla odłożyła niedopalonego papierosa do popielniczki i pokazując oczami, żebym robił to, co ona, poprowadziła mnie na środek pomieszczenia. Opuściła ręce na moje ramiona, oczekując, aż obejmę ją w talii, i zaczęła poruszać się w takt kojącej muzyki. Wzrost, jak się okazało, mieliśmy prawie ten sam.

– Jeszcze nie usłyszałam twojej odpowiedzi. Pasuje ci moja oferta? – zapytała, a mnie się wydało, że sens jej słów odbieram nie uszami, tylko nosem, ponieważ jej słowa mocno pachniały mieszaniną wódki, tytoniu i ładnych perfum.

– Przyjmuję ją. Chociaż nie do końca rozumiem, czym właściwie będę się zajmował – odpowiedziałem.

– Dowiesz się wszystkiego w najbliższych dniach. Jestem prawie pewna, że praca przypadnie ci do gustu – powiedziała Tekla.

– A czemu pani wybrała właśnie mnie?

– Uważnie przeczytałam twoje CV – zaintrygowało mnie.

Zauważyłem ponad jej ramieniem, że niemal w tym samym momencie przestały dymić nasze papierosy. Pod koniec utworu odprowadziła mnie do stołu i psotnie pchnęła na kanapę. Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po niekończącą się karafkę.

– Tekło, nadal niewiele z tego rozumiem, ale mam dobre przecucia. A intuicja rzadko mnie zawodzi. Chciałbym wypić za to, co najlepsze w ludziach – czyli za emocje. I za panią, ma się rozumieć! – rzuciłem i natychmiast poczułem, że dystans pomiędzy myślą a słowem zmniejszył się do minimum.

– Nie warto tak daleko wybiegać do przodu – odparła Tekla. – Choć, rzecz jasna, szkoda za to nie wypić.

Przechyliliśmy jednocześnie kieliszki i znowu zapaliliśmy. Potem poszedłem do toalety; pamiętam, że rozbawiła mnie muszla klozetowa, miała kształt koparki; za kabinę robił pojemnik z wodą, a reszta konstrukcji podobna była do dziwacznej łychy. Po toalecie niechcący powędrowałem w przeciwnym kierunku i trafiłem do innego pomieszczenia, podobnego już nie do jaskini, tylko do miniaturowej sali kolumnowej, gdzie za dużym okrągłym stołem siedzieli jacyś tędy faceci w czarnych garniturach; nie zwrócili na mnie uwagi. W jednym z nich rozpoznałem byłego ministra rządu, przy czym do tego momentu byłem przekonany, że on nie żyje – kiedyś przeczytałem w gazecie o jego przedwczesnej śmierci. Zapatrzyłem się na niego jak zakłęty, ale wtedy ktoś chwycił mnie za łokieć – był to oczywiście kelner.

– Rzeczywiście, zawsze wszystko robisz w odpowiednim czasie – powiedziałem i bezceremonialnie poklepałem go po ramieniu.

Tekla powitała mój powrót głośnym świergotem i triumfalnie podniosła w moim kierunku nową pełną karafkę. Zaproponowała wypić za poezję. Ucieszyłem się i zacząłem

recytować z pamięci wiersze, zapominając całe wersy, myśląc się i zaczynając od nowa. Przez moją gestykulację na podłogę pospadały sztuce. Potem wypiliśmy jeszcze parę kolejek i zacząłem całować dłonie kobiety. Na paznokciu kciuka, równo wzdłuż brzegu białego obłóczka, odkryłem napis: TEKLA. Pośliniłem paznokieć, ale napis się nie rozmazał, pozostając absolutnie wyraźnym. „To autentyczny tatuaż pod paznokciem!”, olśniło mnie.

Potem mówiła coś do mnie, uśmiechając się przy tym i mrużąc oczy, ale jej słowa plątały się ze sobą, rozpadały na sylaby i znikwały w gęstym tytoniowym dymie – nasze papierosy kopciły jak pradawne parowozy! Położyłem głowę na swojej leżącej na stole ręce – moja dłoń sterczała do góry i wskazywała na wzór w kształcie kół znajdujący się na belce pod sufitem; i raptem te koła zaczęły się kręcić, szybko nabierając prędkości, aż mnie tak jakby wciągnęły.

Ciepło promieni słonecznych na twarzy pomogło mi otworzyć oczy. Pokój miał wysoki sufit; żółto-brązowe firanki, przez które przenikało słońce, ozdobione były wizerunkami dużych mauretańskich kobiet, które na tle glinianych chałup karmiły duże mauretańskie psy. Bogate w odcienie czerwieni afrykańskie słońce zamierzało zejść za piękny horyzont i pewnie nie było już palące, tylko łaskawe. Przytulna kolebka ludzkości! Któż nie marzył, by popieścić się na twoim ciepłym wieczorowym łonie?!

Przez uchylone drzwi zauważyłem pewien ruch – szybko i bezszelestnie przemieściła się jakaś postać, potem niewidzialne drzwi wypuściły głucho powietrze i kliknęły zatrask. Dobiegł mnie szum wody, spływającej pod dużym ciśnieniem.

Zamknąłem oczy, a kiedy nieco później je otworzyłem, na progu pokoju stała Tekla.

– I co, zganić cię czy ochlapać? – zapytała tonem srożej, ale kochającej mamy.

Milczałem i wpatrywałem się w nią z przerażeniem. Zbliżyła się do mojego łóżka i ni stąd, ni zowąd opryskała mnie wodą ze swoich mokrych rąk. Nie wiedziałem, jak na to zareagować, i po prostu schowałem się cały pod kołdrę.

– Pamiętasz, jak wypłynęliśmy z Żelka?

– Co to jest „Żelek”? – Wyrząłem nieśmiało.

Tekla zaśmiała się trzema wznoszącymi się nutami: ha-ha-ha, niczym: do-re-mi.

– Żelek to zdrobniały skrót od Rzeczy Elementarne. Tak mówią wszyscy, którzy choć raz tam byli.

– Nie pamiętam.

– To dobrze... W takim razie nie będę ci opowiadała, bo nie wyleziesz spod kołdry do wieczora. Masz pięć minut, żeby się ogarnąć, a ja tymczasem zrobię śniadanie.

Spuściłem nogi z łóżka i zauważyłem z przerażeniem, że nie mam na sobie majtek. Poszukałem oczami swojego ubrania. Wisiało schludnie na krześle, które stało w kącie, przy oknie. Owinąłem się w prześcieradło i na póługiętych, trzęsących się nogach podszedłem do krzesła i zacząłem szukać bielizny. Nigdzie jej nie było. Spojrzałem pod łóżko, wywróciłem spodnie na lewą stronę – i nic! Jęknąłem cichutko... Kiedy już się ubrałem i poprawiałem pościel, raptem zauważyłem ją pod poduszką.

„O co tutaj chodzi?! Co się wczoraj działo?” Zaniepokojony włożyłem majtki do kieszeni spodni i powlokłem się do drzwi.

Znalazłem łazienkę. Zacząłem nacierać twarz zimną wodą, usiłując pozbyć się czerwonych plam po kacu. Na kolor oczu to niestety nijak nie wpłynęło. Prawy kącik ust boleśnie zareagował na dotyk. „Znowu zaczyna się pieprzona opryszczka, trzeci raz w ciągu zimy”, konstatowałem z pokorą skazańca, któremu po drodze na szubienicę odpadł obcas.

W kuchni bulgotało jajko sadzone, na stole leżał czarny chleb, szynka, duża natka pietruszki i koperek, stały też cztery butelki piwa. Tekla sprawnie sobie radziła z patelnią.

– Wyciągnij parę talerzy z szafki – powiedziała.

Szybciutko wykonałem rozkaz.

– Piwo też otworzyć?

– Jeszcze pytasz! Pewnie, że tak!

„Chyba rzeczywiście nadchodzą nowe czasy, skoro pracodawcy zaczynają tak wspaniale się prezentować”, pomyślałem wraz z pierwszym łykiem.

Tekla nałożyła nam jajka i wzięła do ręki butelkę. W świetle dnia ta kobieta wydawała mi się jeszcze bardziej piękna i czarująca. Jej niesamowita twarz z tą fantastyczną strukturą nosa sprawiała wrażenie, jakby była wyrzeźbiona z białego marmuru przez jakiegoś wybitnie odważnego starogreckiego rzeźbiarza. Kątem oka spostrzegłem pod stołem część Teklowej nogi – sukienka ledwo przykrywała jej szczupłe kolano.

Nie chciało mi się jeść, ale patrząc, jak Tekla widelcem i nożem pokonuje szynkę i kawałkiem chleba zbiera resztki żółtka z talerza, postarałem się zrobić jej przyjemność.

– Jedz zieleninę, jej brak w organizmie prowadzi do depresji – powiedziała i brzęknęła sztucami o pusty talerz.

Potem podeszła do okna i zapaliła. Ja w milczeniu dojadłem swoją porcję i ostrożnie zerkałem na Teklę – jak mądry, dobrze wychowany pies.

– Jak już się pewnie zorientowałeś, jesteśmy w biurze twojej nowej pracy – oznajmiła kobieta, przypatrując się czemuś za oknem. – Masz dwa dni – dziś i jutro, żeby doprowadzić się do właściwego stanu. À propos, jutro wieczorem przywiozą meble i sprzęt do biura; tam, w drugim pokoju urządzisz sobie gabinet; wygodną kanapę dla gości już masz, dobrze się na niej wyspałam. W poniedziałek z rana sprawdzisz pocztę – przyślę ci plan działania na najbliższy tydzień. Masz jakieś pytania?

Pokręciłem głową.

– Ale ja mam. Nawet nie pytanie, a zagadkę. Jak myślisz, gdzie położyłam twoje kieszonkowe i klucze do

mieszkania? – zapytała, naśladowując intonację z jakiegoś serialu.

– Nie wiem.

– Od razu się poddajesz?

Potwierdziłem skinieniem.

– Dobra, nie będę cię męczyła, nie mamy czasu.

Tekla podeszła do lodówki, otworzyła zamrażarkę i wyciągnęła stamtąd plastikową torebkę.

– Chciałam sprawdzić twoją intuicję, którą chwaliłeś się w Żelku, ale zademonstrujesz ją innym razem. Muszę już lecieć.

Swój firmowy krok udała się do drzwi wejściowych i wyciągnęła z szafy ciemnoszare futerko. Nie zdążyłem jej pomóc z ubieraniem.

– W tej chwili to tyle – powiedziała już w uchylonych drzwiach, po czym jej obcasy zaczęły dźwięcznie stukać po schodach.

Zamknąłem drzwi na klucz i wróciłem do kuchni. Otworzyłem następne piwo, zapaliłem papierosa i podszedłem do okna – za oknem, daleko na dole, był Chreszczatyk³! Z zaskoczenia wypadł mi z ust papieros. Znowu usiadłem i zacząłem żuć listek pietruszki. „Jeszcze ani razu nie spojrzalesz na jej palce. Więc nie wiadomo, czy tatuaż «TEKLA» istnieje naprawdę, czy tylko w twojej wyobraźni”, pocieszyłem się zdolnością logicznego myślenia.

³ Główna ulica Kijowa.

2.

Portret na drzwiach do wychodka

Siedzę, spuściwszy nogi w dół, na samym brzeżku tej stworzonej rękoma ludzi pływającej ziemi, której nie można było wymyślić bardziej oryginalnej nazwy niż Eden. Tkwię tu już ponad godzinę. Ocean z każdej strony łagodnie oblizuje moje nogi swoim długim językiem, a czasem je podgryza – od soli skóra łydek wysycha i szybko się kurczy. Pokrzykują mewy – bo jakżeby inaczej? Moje oczy są zamknięte i jest mi dobrze. Pewnie znajduję się w półśnie... Aż raptem ktoś mocno uderza mnie w twarz zimną, okrutną ręką. Otwieram oczy – ocean jest prawie spokojny, całym swoim obliczem pokazuje mi, że to nie on, że nie ma z tym nic wspólnego, wręcz przeciwnie – kontynuuje delikatne całowanie moich nóg. Ale ja już nie mogę zamknąć oczu – to niespodziewane uderzenie fali rozbudza we mnie dziwne wspomnienia, które teraz prą na front mojej świadomości, popychając się nawzajem jak niecierpliwe, wredne dzieciaki. I oczywiście mając gdzieś kolejność czy chronologię.

Jako pierwsze obszar mojej uwagi zagarnęło wspomnienie, które nazwałam „Powrót do mamy”, a od którego ślina w moich ustach zrobiła się słodka i cierpka zarazem.

...Zostawiłam ją na trzy długie lata i przez ten czas całkowicie się zmieniłam – jestem teraz trzy razy chudsza, wysmukłam, zaczęłam inaczej chodzić i patrzeć ludziom w oczy. Powiedzieć, że stałam się piękna i pociągająca – to nic nie powiedzieć. Trzy lata temu bezlitośnie popełniłam w myślach samobójstwo: godzinami wyobrażałam sobie, jak mnie zakopują w ziemi, jak marnieje moje ubranie, zapada się skóra, wyłazą kości.

Moja dusza jeszcze za życia przeniosła się do innego ciała – i teraz nawet dawni dręczyciele nie mogą mnie rozpoznać! Idę naszą ulicą Nadbrzeżną – marcowe słońce oślepia tak bardzo, że nawet ciemne okulary nie pomagają, sople wyśpiewują swoje arie w różnych tonacjach, wokół roztacza się znany mi z dzieciństwa zapach czarnych, wilgotnych drzew i ziemi – podchodzę do domu i z oddali dobiegają mnie ich ostrożne, skradające się głosy:

– Kto przyjechał do Marii?

– Może ktoś z rodziny?

– Chyba nie.

– W takim razie lokatorka... Bo Maria na śniadanie ma herbatę, a na obiad – czerstwy chleb.

– A co na kolację?

– Jak to co! Łzy!

– Ha, ha!

– Ładna babka.

– Z klasą!

Wchodzę na rodzime podwórko i z wściekłością trzaskam przekrzywioną metalową furtką, wtedy wokół zapada cisza. Otwieram drzwi – w korytarzu widzę mamę: siedzi na krześle i przerzuca strony jakiejś książki, z parapetu patrzy na mnie kot, w kuchni śmierdzi przypaloną kaszą. Jakie to wszystko mi bliskie! Moje oczy od razu robią się wilgotne.

– Witaj, mamó – mówię głośno, usiłując zatuszować wzruszenie – wróciłam.

– Witaj, Tama – odpowiada starsza kobieta, zasłania się książką i jej ramiona zaczynają się trząść od cichego płaczu.

Powoli, ostrożnie opuszczam jej rękę, przytulam ją i całuję. Głaskam jej siwą głowę, która wyczuwalnie zmniejsza się przez te trzy lata.

– Zmieniłaś się, jesteś zupełnie inna. Tylko po głosie cię poznałam. Nawet pachniesz inaczej – chlipie mama.

– Nie, po prostu stałam się taka, jaką być powinnam – mówię do niej. – Wcześniej to nie byłam ja. Wiesz, jak wszyscy na mnie wołali? Betoniarka! Czy może być na świecie gorsze wyzwisko dla dziewczyny?

Mama milczy. Nie za bardzo wiedząc, co zrobić, zamykam poszarpaną książkę na jej kolanach, dostrzegam tytuł: Przygody Tomka Sawyera. Głaskam cienkie, jakby luźno owinięte pergaminem, palce mamy. Wtem ryk wypełnia moją duszę i pod strasznym ciśnieniem wyrывa się ze wszystkich szczelin – ust, nosa, oczu, uszu.

A potem nieprzerwanym łańcuchem zaczęły mi się nasuwać inne wspomnienia – gorzkie i słone, jak łyzy śledzia pozostawionego na dnie beczki (ależ porównania przychodzą mi do głowy, Jezu drogi!).

...Jak i kiedy zrobiłam coś nie tak – nie wiadomo, moje usta były zamknięte na kłódkę, a klucz spoczywał w sercu. Lecz Artem bez trudu mnie rozgryzł, tak jak dziadek do orzechów – orzech, którego skorupka była mocno podgryziona przez chorobę miłości. Być może zauważył, że przez ostatnie miesiące zaczęłam całkowicie unikać jego wzroku. Ale był tego powód – jego spojrzenie niemal fizycznie paliło błonę śluzową moich oczu. W takie dni na lekcjach zaczynały mi, całkiem bezwiednie, lecieć po policzkach łyzy, a w bezsenne noce wygryzałam dziury w poduszce. Chociaż – coraz bardziej skłaniam się do tego – przyczyną koszmarów pewnie stała się ta przekłeta pomarańcza, którą na przerwie podrzuciłam mu do plecaka. Tak po prostu, bez żadnych oczekiwań. Ani w tamtym, ani w następnym dniu to wydarzenie nie miało żadnych zauważalnych konsekwencji. Uspokoiliam się i o wszystkim zapomniałam. Tymczasem Artem i jego koledzy urządzili tajne dochodzenie i przesłuchali wszystkie dziewczyny z naszej klasy, by drogą eliminacji wyznaczyć mnie jako winną! O wiele boleśniej żegnać się z naiwnością niż z cnotą.

Mijały ostatnie szkolne dni przed sylwestrem. Na lekcji chemii przy pomocy palników spirytusowych podgrzewaliśmy cylindry miarowe, obserwując, jak jedna substancja przechodzi w drugą, zmieniając przy tym barwę. Podobało mi się równomierne, uporządkowane pojawianie się i znikanie bąbelków, ich bezpowrotne cudowne przemienianie. Kiedy nauczycielka została poproszona do dyrektora, Oleg, kolega Artema, podszedł do tablicy i napisał olbrzymimi literami:

DZISIAJ SUPERDZIEWCZYNIĘ WYZNAJE MIŁOŚĆ...

Wszyscy klasnęli w dłonie, ja też – w końcu mieliśmy w klasie kilka zakochanych par. Raptem jakieś ręce chwyciły mnie za plecy i zaczęły trzeć po mojej twarzy jakimś twardym papierem. Trzymały mnie mocno, nie mogłam się ruszyć. Po chwili puściły. Rozejrzałam się dokoła, twarze kolegów wydały mi się wykrzywione w jakimś strasznym, cierpiącym grymasie. I wtedy niespodziewanie ryknął śmiech! Dotknęłam dłonią policzków, czoła – a na moich palcach pozostała jakaś tłusta sadza.

Artem podszedł do mnie i całkowicie beznamiętnie, tak jakby oprócz nas nikogo nie było w klasie, powiedział:

– Jaki masz piękny makijaż! Chyba zaczynam cię kochać.

Wtedy złapałam płonący palnik, ale ktoś z tyłu wytrącił mi go z ręki. Tak jak stałam, bez kurtki, bez swoich rzeczy, wybiegłam z klasy. Tuż obok mnie – przestraszona sprzątaczką na szkolnym korytarzu, a zaraz ja – już na własnym podwórku, w zaspie śniegu. Już nie ryczałam, tylko syczałam, jak stara płyta gramofonowa. Mówiono nam, że w centrum Ziemi, przy jądrze, panuje straszliwie wysoka temperatura, nawet nie da się tego wyobrazić. Mnie się jednak udało, poczułam ją... Kiedy zaś oderwałam w końcu twarz od śniegu, ten zrobił się czarny.

Kilka dni nie wstawałam z łóżka – nie jadłam, nie spałam, o niczym nie myślałam. Czasem widziałam siebie

z boku: moje oczy beznamiętnie patrzyły na ciało gdzieś spod sufitu – niczym kamera monitoringu. Przedmioty w moim pokoju na nowo odkrywały przede mną swoje istnienie. Podkrażały się do mnie powoli i ostrożnie, jak małe rybki do zatopionej w morzu barki. Podszczypywały moją świadomość swoimi chropowatymi usteczkami i znowu odpływały. Mama dwa razy wzywała lekarzy, ale oni, zdziwieni, tylko kręcili głowami, doradzając spokój i odpoczynek w łóżku – akurat tego dobra miałam teraz pod dostatkiem.

Później zaś w najbardziej oddalonych zakątkach mojego mózgu zaczął wyłaniać się jakiś obraz. Bardzo daleki, jak sen z dzieciństwa. Od razu wydał mi się nadzwyczaj ważny. Starłam się jak najszybciej go sobie uświadomić, uwyraźnić, oddzielić od reszty świata, pomóc wydostać się z więzienia czaszki, zobaczyć u góry na białym suficie – niczym kadr z filmu. Zapach już dotarł! A i barwa zaczęła się powoli przebijać...! Męczyłam się bardzo długo, ale wszystko na nic. Tymczasem coś zaczęło mnie uwierać pod boki. Sięgnęłam tam ręką i wyciągnęłam aluminiową łyżkę. Rzuciłam ją na podłogę. Coś utknęło mi też między palcami nóg; to był widelec, jego tak samo się pozbyłam. Potem zaczęłam wyjmować spod kołdry jednocześnie po kilka łyżek i widelców, wszystkie z trzaskiem leciały na podłogę. Nie wiem, ile to trwało, ze zmęczenia odpadały mi ręce. Kiedy góra sztuców wyrosła powyżej łóżka – wszystko ustało.

Z łóżka podniosłam się w pierwszy dzień nowego roku, pod wieczór. Poszłam się umyć i uczesać. Mama nalała dzbaneczek bulionu.

– A grzanki są? Daj trochę.

Potem znowu zachciało mi się położyć. Ale musiałam pójść do wygodki.

– Załóż walonki, śniegu napadało po kolana – powiedziała mama.

Na zewnątrz robiło się ciemno, nadciągał mróz. Włączyłam światło – latryna od wewnątrz była oklejona różnymi plakatami agitacyjnymi, kolory były jaskrawe, pełne życia. Mama się postarała. Teraz nie było już tu tak zimno, a najważniejsze – w szczeliny między wyschłym drewnem nie dmuchał już wiatr.

...Nelka patrzyła z drzwi wejściowych z zimnym, pobłażliwym uśmiechem – jakby się domyślała, czym ja się tu teraz zajmuję. Była naszą krewną – siostrzenicą mojej mamy w trzeciej linii. Dawna próba mamy, by nawiązać z nią rodzinne relacje, nie powiodła się; sekretarka przekazała nam słowa Nelki: że ponoć przy tak wątłym pokrewieństwie to pół Ukrainy mogłoby się śmiało napraszać do bycia częścią jej rodziny – motywy, rzecz jasna, całkiem zrozumiałe.

Plakat był duży, a twarz Nelki – dwa razy większa od mojej. Wypełniała sobą całą przestrzeń, nawet jeśli zamknęło się oczy – to i tak wyczuwało się jej obecność. Przez lewe ramię miała przerzucony jasny warkocz, który zwisał jej prawie do talii – taki firmowy myk. Gruba jak kłoda. Zaś na końcu warkocza – szklany trójząb⁴, ozdobiony kolorowymi „szlachetnymi” kamykami. „Oczywiście nie mogę w tej chwili zobaczyć cię fizycznie, ale każdą najmniejszą komórką wyczuwam, że teraz też siedzisz na kiblu!” Napełniłam całe usta śliną i plunęłam jej w twarz. „W czym jestem gorsza od ciebie, suczko, no, w czym?! Czemu ty kwitniesz, a ja już nigdy nie będę mogła być naprawdę szczęśliwa? Czemu tak się stało? Czemu i komu zawiniłam?!” Najpierw chciałam podrzeć Nelkę na kawałki, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie: wytarłam ślinę i zwinęłam plakat w rulonik.

Podczas pokonywania tych kilkudziesięciu kroków, które dzieliły wygodkę od domu, wyraźnie zobaczyłam przed

oczami swoją przyszłość. Tak jakby ktoś na parę sekund zanurzył mnie w niej – niczym ślepe, pozostawione przez kotkę kociątko wsadzone na siłę do miski z mlekiem. Już uspokojona i nieco podbudowana, dotarłam do łóżka i zapadłam w sen.

Rano podeszłam do mamy, która właśnie lepila pierogi w kuchni, i oznajmiłam:

- Dziś pojedę do taty.
- Na długo?
- Na długo.
- Weź dla niego jakiś prezent, może chociaż parę książek.

Mama zaczęła strząsać mąkę ze swoich rąk. Rozszalały kot wczepił się zębami w pasek jej szlafroka, który ciągnął się po podłodze.

– Przecież wszystkie dawno przeczytał, jeszcze kiedy pracowałeś w bibliotece.

Mimo że tata mieszkał w granicach sąsiedniego obwodu zaporoskiego, dotarłam do niego dopiero późnym wieczorem. W pociągu prawie nie działało ogrzewanie, bezradnie patrzyłam na brudne szpary w oknach, przez które zniknęło ciepło, między innymi mojego ciała. Na którejś stacji do wagonu weszła babka z drożdżówkami, kupiłam jedną i bezmyślnie zjadłam. Prawie natychmiast zaczął boleć mnie brzuch.

„To nic – pocieszałam siebie. – Przecież nie umrę w tej zimnej trumnie na kołach?”

– Hej, chodź, wypij z nami! – burknęło do mnie towarzystwo z przeciwległego rzędu.

Pokręciłam głową i odwróciłam się do okna. Moje wargi natychmiast zrobiły się suche i niepostulszne, a lęk przerzucił serce na inny bieg. Zadrzałam od koszmarnej świadomości, że w tej chwili jestem skłonna wykonać każdy rozkaz.

⁴ Złoty trójząb na niebieskiej tarczy stanowi herb Ukrainy.

– Jesteś głucha czy udajesz? – wrzasnął ktoś inny.
– Taa, już jest narąbana! – powiedział zachrypły żeński głos i cała grupa głośno i nieprzyjemnie wybuchnęła śmiechem.

Poczułam na ramieniu ciężką dłoń.

– Czemu się odwróciłaś? – zapytał nastolatek ze szklanymi jak u lalki oczami. – Chodź do nas. Nie podobamy ci się?

– Nie. – Zadygotałam.

– Co nie? – zasyczała ich koleżanka. – Chudy, co ty się z nią patyczkujesz, dawaj ją tutaj.

– Chodź! – skrzywił się Chudy, mocno ściskając mnie za ramiona.

Ale w tym momencie pociąg się zatrzymał i do wagonu wszedł potężny facet; takich jak on spotkać można wyłącznie w miejscowych stepach. Miał dwa metry wzrostu, niezwykle szerokie ramiona, olbrzymie dłonie i dobre dziecięce oczy. Niósł pod pachą ogromną wiązkę desek owiniętych taśmą klejącą.

– Uff – westchnął – ledwo zdążyłem!

Zdjął futrzaną czapkę – jego pognieciona łysina parowała. Chudy wrócił na swoje miejsce i jego towarzystwo momentalnie straciło mną zainteresowanie.

Facet usiadł naprzeciwko mnie i długo łapał oddech, wycierając wyświechtaną chusteczką krople potu z karku i skroni. „Oto on – szlachetny rycerz, który uratował biedną dziewczynę od złych ludzi. A on tego nawet nie wie! I nigdy się nie dowie. Ale ja cię nie zapomnę. Słyszysz mnie, olbrzymie?! Nigdy!”

Tata mieszkał niedaleko stacji. Psów nigdy nie miał, dlatego cichutko weszłam na podwórko i zbliżyłam się do oświetlonego okna. Przytuliłam się policzkiem do szyby. Za stołem spoczywało trzech mężczyzn: tata, w szarym swetrze z wysokim kołnierzem, siedział plecami do mnie, po lewej stronie żywiłowo gestykułował kudłaty młodzieniec

podobny do młodego Szewczenki⁵ w peruce, po prawej zaś kiwał głową siwy dziadek z orlim nosem i dużymi oczami.

Zapukałam w szybę. Nad gankiem zapaliła się lampka i tata wyszedł na zewnątrz.

– Czy pozwolą mi państwo przenocować? – powiedziałam z nisko pochyloną głową i zmienionym głosem.

– Czemu nie.

Raczej od razu mnie poznał, ale nawet jeśli nie, jego odpowiedź byłaby dokładnie taka sama. Byłam tego pewna.

– Cześć, tato! – przywitałam się i podeszłam pod światło lampy.

– Cześć, Tama! – powiedział i ostrożnie wziął mnie w ramiona; przez kurtkę poczułam delikatność jego rąk.

– Potrafisz zaskoczyć.

– Tak jakoś wyszło.

– To dobrze. Wchodź.

Weszliśmy do pokoju. Mężczyźni obdarzyli mnie krótkim przyjaznym uśmiechem.

– To jest Tama – powiedział tata – a to pan Andrij Sarhan i Iwan Kołomijec.

Siwy dziadek radośnie podskoczył na stołku.

– My się już troszkę znamy! Czyż to nie ty? – Skinął głową w stronę gablotki.

Zobaczyłam za szybą swoje zdjęcie. Przytaknęłam.

– Ale możemy pogłębić naszą znajomość, co ty na to? – zapytał dziadek i mrugnął do mnie, biorąc do ręki butelkę wódki.

– Nie lubię wódki.

– Dla takich okoliczności w sposób naturalny zmniejszając moc spirytusu gdzieś... gdzieś do siedemnastu, osiemnastu procent. Będzie jak porto. Odrobina młodemu organizmowi nie zaszkodzi.

⁵ Taras Szewczenko, żyjący w XIX w. bohater narodowy Ukrainy, poeta, malarz, myśliciel. Był łysy, stąd porównanie.

– Tylko uważaj – mnie i Bazylemu nie zmniejszaj procentów – powiedział Szewczenko w peruce. – Bo twoje triki uderzą nas po kieszeni i jeszcze będziemy musieli biec na stację po butelkę!

Wszyscy mężczyźni zaśmiali się chórem. Patrząc na ich radosne twarze, również się uśmiechnęłam. Tata przyniósł mi krzesło i posadził przy stole. Szewczenko w peruce połał wódki i podniósł do góry kieliszek.

– Nowy rok zaczyna się od przyjemnych niespodzianek. – Spojrzał na mnie. – To dobry znak. To znaczy, że wszyscy będziemy mieć farta. I właśnie za to proponuję wypić!

– Tama, Janek zna cię dopiero od kilku minut, a już flirtuje. Co ty na to? – Siwy dziadek klasnął w dłonie i nagle mnóstwo drobnych zmarszczek pomknęło od jego oczu, jak fale na wodzie od kamyczka. Przykrył dłonią kieliszek, podniósł go i trochę nim potrząsnął, mieszając zawartość. – Już. Teraz to jest wino. Pij śmiało!

Wzięłam od niego kieliszek i stuknęłam się z nim. Płyn prawie niczym nie różnił się od wody gazowanej, z której uszedł gaz. Dziadek chyba nieco przesadził z tym swoim trikiem.

Z tego wieczoru zapamiętałam jeszcze pieczone ziemniaki, które tata zrobił w piecyku razem z kawałkami słoniny i czosnkiem. A potem nie wiadomo skąd w rękach Szewczenki w peruce pojawiła się gitara, po czym zagrał on kilka angielskich piosenek, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Tata palcami wystukiwał rytm na stole, a siwy dziadek co jakiś czas podśpiewywał. „Ale towarzystwo – pomyślałam po drugim kieliszku wody gazowanej. – Wszyscy tacy zabawni, a tu tak przytulnie!” Przymknęłam oczy i chyba zaczęłam zasypiać. Tata odprowadził mnie więc do sąsiedniego pokoju, położył na kanapie i przykrył kocem.

Kiedy się obudziłam, goście już sobie poszli. Udałam się do kuchni. Tata rozpędzał dymem z papierosa kłęby pary unoszące się nad szklanką; dopiero teraz dotarło do

mnie, że od dawna się nie golił. O wszystkim mu opowiedziałam i się poryczałam. Słuchał, patrząc gdzieś w bok i nie przerywając mi. Nie zadał żadnego pytania. Tylko czasami ścisnął moją dłoń.

– Nie wrócę do szkoły – podsumowałam swoją opowieść.

– Chcesz herbaty? – zapytał tata, wycierając moje mokre policzki.

Skinęłam.

Kilka następnych dni spędziłam w błogiej samotności. Tata wychodził wcześniej rano, a wracał późno wieczorem. Mówił, że pracuje na stacji, ale nie wtajemniczył mnie w szczegóły. Po przebudzeniu parzyłam sobie herbatę, smażyłam na patelni kilka grzanek na słoninie⁶, rozsiadałam się w wygodnym starym fotelu, brałam z półki książkę i – zanurzałam się w wymyślone światy. Właściwie to, co czytałam – bajki braci Grimm, dialogi Platona, książki latynoamerykańskich powieściopisarzy czy francuskich poetów – zasadniczo nie miało znaczenia, tym bardziej że odrywając się od czytania, ponownie trafiałam do niezwykłej rzeczywistości, podobnej do tej książkowej. Tata kupił tę chałupę od byłego kierownika stacji, dlatego nie była pozbawiona pewnych wygód: wysoki sufit trzymały solidne lakierowane belki, duże porządne okna w ogóle nie przepuszczały zimna, na podłodze leżały deski, na których prawie wcale nie odbił się czas, z kolei dach był ułożony z prawdziwej dachówki. Budynek miał werandę, dużą kuchnię, dwa pokoje, a co najważniejsze – łazienkę z ubikacją, w której ciągle przysypiałam. Po byłym gospodarzu pozostało też mnóstwo porządných starych mebli: gablotka, regały, dwie kanapy, duży okrągły stół z rzeźbionymi nogami, kilka krzesel. „Los rzeczy jest nie mniej niepojęty

⁶ Słonina stanowi podstawę tradycyjnej kuchni ukraińskiej..

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

